

**S M U G I**



**M A Ł G O R Z A T A**

**S T A R O S T A**

**S M U G I**

**LABRETO**



## PRZEDMOWA

Inspiracją do napisania niniejszej powieści stała się prawdziwa zbrodnia – potworna, szokująca i do dziś niewyjaśniona – do której doszło w spokojnej wsi na Podlasiu. Fabuła *Smugów* opiera się na faktach związanych z tamtą zbrodnią, lecz utkana wokół nich akcja jest fikcją i powinna być traktowana wyłącznie w taki sposób. W szczególności ani autor, ani wydawca nie przesądzają o tym, kto był sprawcą zbrodni, która dała inspirację powieści, ani jakie były jej okoliczności. Nazwy niektórych miejsc, daty i personalia ofiar oraz uczestników wydarzeń zostały zmienione.



**CZĘŚĆ  
PIERWSZA**

**Szawła**

## ROZDZIAŁ 1

Sygnał przychodzących wiadomości brzmi, jakby telefon dostał czkawki. Zapomniałam wyciszyć dźwięki i teraz to cholerne pikanie doprowadza mnie do furii. W innych okolicznościach z pewnością wyłączyłabym go w diabły, ale muszę się skupić na manewrowaniu w chaosie porannych korków. Jak na złość trafiam na zieloną falę albo niedziałającą sygnalizację i nie mam jak się zatrzymać.

– Rusz się, koleś!

Wciskam agresywnie klakson, gdyż kierujący jaguarem zatamował ruch, jakby bał się uszkodzić swoje wymarzone autko. Facet stuka się czoło, patrząc na mnie we wstecznym lusterku, i w końcu rusza.

Dwanaście minut później parkuję pod budynkiem redakcji i sięgam po telefon. Dziesięć wiadomości od Matyldy.

*Szawła, jedziesz już?*

*Gdzie jesteś?*

*Śpiesz się, bo stary wkurwiony.*

*Gdzie jesteś???*



*Jak się nie zjawisz w ciągu 5 minut, to Ci nogi z dupy powyrywam!*

*Elo! Odezwij się!!!!*

*Cholera jasna, tu się robi nieznośnie, gdzie się podziałaś?!*

*I dlaczego nie odbierasz?*

*Janka!!!!*

*Dzwonię na policję!*

Po ostatnim zdaniu robi mi się gorąco. Matylda jest zdolna do tego, żeby zadzwonić na gliny. Wybieram jej numer, wysiadając z samochodu, zapalam papierosa i wypuszczam dym.

– Żyjesz!

Dałabym sobie rękę uciąć, że moja przyjaciółka brzmi jak zmija.

– Żyję. Pędziłam, wariatko, nie rób rabanu. Raz człowiek się spóźni i od razu panika...

– Trzeba było odpowiedzieć. A najlepiej odebrać, kiedy dzwoniłam.

Odsuwam telefon od ucha i spoglądam na rejestr połączeń. Jedno nieodebrane sprzed czterdziestu siedmiu minut. Nie słyszałam, ale nie ma czemu się dziwić, byłam wtedy dość zajęta.

– Sorry, nie mogłam gadać.

– Gdzie jesteś?

– Za winklem, za pięć minut wchodzę.

– Nie! Czekaj na mnie, zaraz będę. Powiem, że muszę do toalety.

Nie zdążam wypalić do końca, kiedy energiczne kroki zwiastują nadejście przyjaciółki. Zziajana, jakby uciekała przed zbirami, Matylda dopada mnie i obrzuca krytycznym wzrokiem, wyciągając papierosa.

– Paweł?

Podaję jej zapalniczkę i kiwam głową.

– Nie chcesz o tym gadać?

Zaprzeczam bez słowa. Naprawdę nie chcę.

– Okej, nie cisnę. Mamy większy problem niż twoje popieprzone życie uczuciowe. Lepiej weź głęboki oddech.

Zabrzmiało to co najmniej groźnie, więc na wszelki wypadek biorę dwa.

– Stary wpadł dziś do redakcji w takim nastroju, jakby przegrał żonę w karty i miał dobę na zebranie trylionu bitcoinów. Rozstawia po kątach wszystkich, a o ciebie pyta co pięć minut. Zrobiłaś mu coś?

Wybałuszam oczy na Matyldę i bezwiednie sięgam po drugiego papierosa. Te dwa wdechy okazały się zbyt słabym buforem.

– A co ja mu mogłam zrobić? Na pewno nie orznęłam go w pokera, przecież wiesz, że nie umiem grać w karty.

– Zawaliłaś coś? Puściłaś niesprawdzony materiał? Naraziłaś się komuś?

Moja przyjaciółka wygląda na autentycznie przejętą, a mnie powoli udziela się jej nastrój. Co ja takiego mogłam zrobić?

– Nie wiem, Mati, serio. Cokolwiek to jest, nie zapisało się w mojej pamięci.

Matylda przygląda mi się jeszcze przez chwilę, po czym kiwa głową do własnych myśli, rzuca niedopałek na chodnik i podaje mi ramię.

– Idziemy. Co ma być, to będzie. W razie tragedii obronię cię własną piersią i zapewnię ci alibi.

Coraz bardziej zdezorientowana i zaniepokojona ja także wyrzucam ledwo zapalonego papierosa, jednak mnie udaje się trafić do studzienki kanalizacyjnej. Ruszam za Matyldą, a w ostatniej chwili przypominam sobie jeszcze o zamknięciu samochodu. Kiedy wjeżdżamy windą na czwarte piętro biurowca, serce łomocze mi tak głośno, jakby

chciało konkurować z bębniarzami, którzy co drugi czwartek odbywają próby w niedalekim sąsiedztwie. Matylda ściska moją rękę i zerkna na mnie z troską. W ustach czuję pustynię, a przed oczami zaczynają wirować mroczki.

– Stresujesz mnie.

– Wspieram cię. – Po tych słowach Matylda ściska moją dłoń jeszcze mocniej.

Winda zatrzymuje się na naszym piętrze, drzwi się rozsuwają, a ja nie mogę zrobić kroku. Dopiero wtedy dociera do mnie, dlaczego moja przyjaciółka zgruchotała mi kości paliczków. Rusza w stronę przeszklonych drzwi redakcji, pociągając mnie za sobą. Przytyka kartę do czytnika, dioda zmienia się z czerwonej na zieloną, zamek się odblokowuje i wchodzimy do wnętrza. Nie wiem, co spodziewałam się zastać, na pewno jednak widok szefa stojącego na środku ogromnego open space'u bardzo mnie zaskakuje. Skrzyżowane na piersi ramiona i surowe spojrzenie świdrujące mnie spod krzaczastych brwi wcale nie działają uspokajająco. Teraz jestem gotowa nawet uwierzyć, że faktycznie wygrałam tę jego żonę w karty.

– Patrz, kogo znalazłam!

Gdybym nie wiedziała, w życiu nie podejrzewałabym, iż gra. Szef nie daje się jednak nabrać.

– W toalecie na zewnątrz?

– W naszej była kolejka.

Ledwo udaje mi się wydobyć głos, który w dodatku wcale nie brzmi jak mój.

– Cześć, Artur.

– Wracaj do pracy, Matylda. A ty, Szawła, idziesz ze mną. Natychmiast.

\* \* \*

Artur Myszkowski niemal nigdy nie zasuwiał rolet w swoim przeszklonym gabinecie, tym razem jednak robi wyjątek. Niemal czuję na sobie wzrok współpracowników, którzy z pewnością próbują przebić się przez materiałową przeszkodę i podejrzeć, co tak wyprowadziło z równowagi naczelnego. Nasz szef rzadko okazuje emocje, a wściekłość, jaką prezentuje tego dnia, jest absolutnym precedensem. To bynajmniej nie wróży dobrze.

Zajmuję jedno z krzeseł przy biurku i czekam. Cokolwiek Artur ma mi do powiedzenia, wolę mieć to już za sobą. On jednak wcale się nie śpieszy, a może chce odrobinę się uspokoić. Minuty mijają, a milczenie między nami gęstnieje w powietrzu, powodując, że zaczynam się pościć. W końcu Artur się odzywa. Wciąż jest daleki od opanowania, ale przynajmniej nie krzyczy.

– Nie wiem, od czego zacząć...

– Najlepiej od początku, szefie.

– Tylko gdzie tu jest, do diabła, początek?

Uznaję, że najrozsądniej będzie to przemilczeć. Myszkowski ewidentnie prowadzi wewnętrzną walkę, a pchanie się między wrogie woj-ska jest misją samobójczą.

– No dobra, Szawła, chyba inaczej się nie da. Walę prosto z mostu.

Gula, która dotychczas odrobinę przeszkadzała mi w przełykaniu, momentalnie tamuje krtań. Jestem niemal pewna, że za chwilę się uduszę.

– Znasz Mariana Radziejewskiego?

– C-co? Dlaczego pytasz o mojego wuja?

Prawie spadam z krzesła. Spodziewałam się wszystkiego, ale to...?

– To nie ja o niego pytam, to on pytał o ciebie. A właściwie wskazał cię jako swoją morderczynię.

W ostatniej chwili powstrzymuję się przed zaprezentowaniem bogactwa leksykalnego, jakiego nauczyłam się od rzeczzonego wuja. Jestem tak oszołomiona, że dopiero po kilku sekundach dociera do mnie implikacja wynikająca ze słowa „morderczyni”.

– Czekaj, Artur, wróć, momencik. Jaka, kurwa, morderczynię? Co ty opowiadasz?

Myszkowski wyraźnie się uspokaja. Sięga po stojący pod ścianą fotel, przesuwając go na środek pomieszczenia, czyli mniej więcej pół metra ode mnie, i siada w nim, po czym głośno wypuszcza powietrze.

– Policja będzie tu za kilka minut, powiedziałem im, że pracujesz od dziesiątej.

– Artur, ja nic z tego nie rozumiem. Co ty wygadujesz? Brałeś coś dzisiaj? Albo przeciwnie: zapomniałeś o jakimś leku na życie?

– Mój znajomy z policji w Białymstoku zadzwonił do mnie nad ranem i powiedział, że niejaki Marian Radziejewski ze wsi Krzyżajny został znaleziony na drzewie. Dyndał sobie na grubym konarze. W jego kieszeni tkwił kawałek papieru z odręczną notatką o treści: „Znajdźcie Jankę Szawłowską”. Tak się składa, że to raczej nie jest zbyt często spotykane nazwisko, o imieniu nie wspomnę, a jedna taka kilka miesięcy temu szczerzyła się razem ze mną do zdjęcia na gali dziennikarzy. Zaryzykował i chyba trafił? Możesz mi wyjaśnić, Szawła, dlaczego w kieszeni wisielca znajdowała się kartka z twoim nazwiskiem?

– Mówiłam ci, że to jest... był mój wuj. Przynajmniej tak myślę, że to mój wuj. Brat mojej matki. Mieszkał w Krzyżajnach.

– Widziałaś się z nim ostatnio?

– Nie! Wysyłałiśmy sobie kartki na święta, nawet na pogrzebach i weselach się nie spotykaliśmy, bo od lat nie utrzymywałam kontaktu z tamtą rodziną. Nie rozmawiałam z nim od dekad.

– No więc o co tu chodzi?

Ignoruję pytanie, na które i tak nie potrafiłabym odpowiedzieć, i zastanawiam się na głos:

– Dlaczego mój ojciec nic nie wie o jego śmierci?

– Pewnie niedługo się dowie. Dostałem cynk poza oficjalnym obiegim, ze względu na nasze powiązania. Na pewno nie miałaś z nim kontaktu?

Zaciskam zęby tak mocno, że dostaję szczękowości.

– Na pewno. Artur, to jakieś cholerne nieporozumienie. To niemożliwe, ja nawet nie pamiętam, jak ten człowiek wygląda. Wyjechaliśmy z Podlasia w latach dziewięćdziesiątych i tylko raz byłam tam od tamtej pory, wieki temu! Chyba nie myślisz, że mogę mieć cokolwiek wspólnego z jego śmiercią?

– Nie, nie myślę. Chciałem się tylko upewnić, zboczenie zawodowe.

Łypię na niego wściekle i przetykam ciętą ripostę. Mogłabym mu powiedzieć, gdzie sobie może wsadzić to swoje zboczenie, ale przerywa nam pukanie do drzwi.

– Proszę!

Drzwi uchylają się wolno i do środka wchodzi asystentka redakcji. Jest biała jak papier i nie wydaje się zachwycona tym, że została zmuszona do przerywania ważnego spotkania naczelnego.

– Przepraszam, redaktorze Myszkowski, policja do Janki.

– Proszę dać im kawy i kazać poczekać. Za pięć minut będą mogli rozmawiać z panią Szawłowską.

## ROZDZIAŁ 2

– Oddychaj, Szawła, oddychaj!

Matylda kuca przed krzesłem, trzymając mnie mocno za kolana, podczas gdy ja ze wszystkich sił staram się nie zwymiotować. I wcale nie chodzi o tych cholernych ludzi gapiących się na mnie, jakby mi właśnie wyrosła trzecia noga albo ogon, tylko z powodu białych spodni. Za żadne skarby nie chcę ich pobrudzić niestrawioną kawą.

– Janka, w porządku?

Z trudem podnoszę wzrok na Artura, który zjawił się z plastikowym kubkiem pełnym wody. Kiwam głową i wyciągam rękę po napój.

– Tak, dziękuję. Jestem wkurwiona i oszołomiona, możliwe, że w odwrotnej kolejności, ale generalnie wszystko gra.

Siedzę przy swoim biurku, bo gabinet Artura wciąż jest zajęty przez policjantów. Zbierają tam jakieś materiały i z tego, co udaje mi się dojrzeć w prześwitach między lekko rozsuniętymi żaluzjami, wykonują setki połączeń telefonicznych. Musieli już dotrzeć do mojego ojca, bo dzwonił trzy razy w ciągu kwadransa. Trudno, poczeka.

Matylda wyjmując kubek z mojej drżącej dłoni.

– Co ci powiedzieli?

– Niewiele ponad to, co już wiedziałam. Właściwie to cały czas mnie wypytywali, miałam wrażenie, że w kółko o to samo, jakby chcieli mnie złapać na kłamstwie.

– I złapali?

– Jestem profesjonalną dziennikarką, Artur, mam czarny pas w mówieniu nieprawdy. Jeden z nich pod koniec naszej rozmowy odebrał od kogoś telefon i oświadczył, że „numer logował się tylko w Warszawie”. Domyśliłam się, że sprawdzali, czy przypadkiem nie pojechałam zaciukać wujaszka.

– Twój telefon mógł zostać w Warszawie.

Matylda jakby zapomniała, po czyjej ma być stronie i komu obiecała zapewnić alibi. Mimo wszystko ma rację.

– Mógł, ale dzwoniłam do ciebie wczoraj w nocy, ze swojego mieszkania, i chyba im to wyszło w tych sprawdzeniach. Wygląda więc na to, że mnie nie aresztują.

Artur opada na biurko, przy którym pracuje jeden ze stażystów, zmuszając chłopaka do odjechania z krzesłem niemal pod ścianę.

– O mój Boże, co za ulga...

– Ale co właściwie się stało? O co chodzi, Janka?

W odróżnieniu od szefa Matylda nie ma kumpli w policji, nie licząc oczywiście mojego ojca, tyle że z niego kiepski kumpel.

– Nie tutaj! Chodźmy za winkiel.

Strzelam oczami na lewo i prawo. Moi współpracownicy nawet nie próbują ukrywać zainteresowania kryminalną karierą koleżanki z redakcji. Pewnie już zrobili zakłady, który z nich dostanie prawo do napisania materiału na jedynekę.



Matylda prostuje się zaskakująco sprężystym ruchem, a ja zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam zacząć pić kolagenu, do czego ona namawia mnie od kilku tygodni. Chyba faktycznie skóra przyjaciółki wygląda młodziej – od mojej na pewno, choć przecież jest ode mnie trzy lata starsza.

Artur wyraźnie walczy ze sobą; z jednej strony chce poznać przebieg mojej rozmowy z glinami, z drugiej – jako radykalny przeciwnik palenia wyjście „za winkiel” traktuje niemal jak wyprawę do piekła. Na jego szczęście diabły jeszcze się o niego nie upominają: drzwi niewielkiego gabinetu zajmowanego przez policjantów uchylają się i wymaszerowuje czterech panów z niezbyt przyjaznymi wyrazami twarzy, łypiąc groźnie na zaciekawionych pracowników redakcji. Ostatni z nich, ten, który prowadził moje przesłuchanie, zatrzymuje wzrok na mnie, co zapewne ma oznaczać, że powinnam podkulić ogon i odebrać ostatnie pouczenie. Przekorny charakter każe mi zastygnąć jak słup. Patrzymy więc na siebie przez kilkanaście dłużeń się sekund i pewnie trwałoby to dłużej, gdyby nie Artur.

– Janka, rusz się.

Mięczak.

Chcąc nie chcąc, postępuję ku facetowi, hardo patrząc mu w oczy. Nie boję się go, nie z takimi miałam do czynienia, a on najwidoczniej nie zna mojego ojca. Pewnie zaczął służbę na długo po tym, jak legenda Antoniego Szawłowskiego odeszła w niepamięć wraz z poprzednim pokoleniem udającym się na zasłużoną emeryturę.

– Komisarzu?

– Proszę się ze mną skontaktować, gdyby weszła pani w posiadanie jakichś istotnych informacji.

Podaje mi wizytówkę, a ja przyjmuję ją bez słowa, kiwam głową i robię krok w tył, umożliwiając mu swobodne przejście. Odprowadzam go wzrokiem, a kiedy drzwi się za nim zamykają, wmaszerowuję do gabinetu Artura. Po chwili dołączają do mnie Matylda z Myszkowskim.

– Nadawaj, Szawła.

– W największym skrócie i niekoniecznie z sensem: wuj sam odebrał sobie życie, jednak policja nie wyklucza, że ktoś go do tego namówił. Tym, co wydaje się dziwne, jest miejsce, w którym go znaleziono.

– Drzewo w sensie? Ono jakieś szczególne jest? Święte? – Matylda uruchamia instynkt dziennikarki śledczej i zaczyna wyglądać jak pies myśliwski, który chwycił trop.

– Nie wiem, czy jest święte, raczej odwrotnie. To drzewo, a dokładniej wiąz, cieszący się wątpliwą renomą, odkąd pamiętam, stanowił punkt na mapie, który bogobojni ludzie omijali szerokim łukiem. Kilka razy trafił w niego piorun, a w promieniu dwudziestu metrów nie wyrosło żadne inne drzewo. Taki pomnik przyrody, tylko na opak. Ale nie w tym sęk, nomen omen. – Podnoszę wzrok i spoglądam kolejno na jedno i drugie, po czym marszczę brwi. – Chodzi o to, że Radziejewscy nie mieszkali w Krzyżajnach od lat, o czym ja do dzisiaj nie miałam pojęcia. Niedługo po nas wyprowadzili się do wioski, z której pochodziła ciotka, i od tamtej pory nikt ich w Krzyżajnach nie widział. I nagle, ni stąd, ni zowąd, znajdują jego zwłoki na drzewie, pod którym...

Gdy urywam raptownie, przypomniał mi się, że jednak owo drzewo miało znaczenie – i bynajmniej nie było święte – Artur w lot pojmuję zmianę mojego wyrazu twarzy.

– Janka? Co ci się przypomniało?

– Słuchajcie... Ja... Nie wiem, może się mylę, ale to byłby zbyt duży zbieg okoliczności... Boże, to musi być to! Artur, odblokuj komputer!

Mój szef bez wahania rzuca się do biurka. Daleko zresztą nie ma, bo w mikroskopijnym pomieszczeniu wystarczą trzy kroki, by przejść od ściany do ściany. Uruchamia leżący na nim laptop, po czym przesuwa się, by zrobić dla mnie miejsce. Natychmiast wpisuję w przeglądarkę interesującą mnie frazę. Pierwszy artykuł od góry ma wystarczająco wymowny tytuł, by przyciągnąć uwagę.

– To o nich. Te dzieci to byli moi kuzyni.

Zerkam na Artura, który pochyla się nad komputerem. Zmarszczki na czole i skupiony wzrok wyraźnie świadczą o tym, jak jest wstrząśnięty. Nie dziwi mnie to, każdy na jego miejscu czułby się dokładnie tak samo. Matylda, co także rozumiem, reaguje całkiem inaczej.

– Słyszałam o tej sprawie! Cholera jasna, słyszałam i czytałam! Ty jesteś z nią związana? Jak mogłaś nie pisnąć słowa?!

– Wyobraź sobie, że to nie jest temat, od którego zaczynam znajomość. Uważasz, że powinnam? „Hej, jestem Szawła, kiedy byłam małą dziewczynką, moi kuzyni zostali bestialsko zamordowani, przez co moja rodzina uciekła z Podlasia”. Tak?

– Zapomniałaś dodać, że jesteś też wyjątkowo uszczypliwa.

Jak zwykle rzeczowy i skupiony na zadaniu Artur przerywa nasze złośliwości.

– Janka, czy samobójstwo twojego wuja może mieć jakikolwiek związek z tą sprawą?

– Nie potrafię sobie wyobrazić jaki. Dlaczego teraz? Po trzydziestu latach? To psychologicznie wprost nieprawdopodobne. Tyle że...

– Tyle że ten związek nasuwa się sam.

– Właśnie. No i jeszcze ta nieszczęsna kartka w kieszeni. Policja oczywiście nie chciała uwierzyć, że nie miałam kontaktu z wujem, ale informacja o jego wyprowadzce z Krzyżajn lata temu tak mnie zszokowała, że zmienili zdanie. Ten smutny komisarz stwierdził, iż nie mogłabym tak doskonale zagrać zaskoczenia. Trochę mnie ta opinia zabolęła, przyznaję szczerze. Jakby rzucił mi wyzwanie.

– Szawła, odpuść.

Artur doskonale wie, że mnie nie wolno rzucać wyzwań. Zwłaszcza takich, które mogłyby sprowadzić na mnie kłopoty.

– Odpuszczam, na razie. Ale nie powiem, żebym nie czuła mrowienia pod skórą. Nie podoba mi się, że moje nazwisko wypływa w dziwnych okolicznościach, a ja nie mam pojęcia dlaczego.

Zapada cisza przerywana jedynie klikaniem myszki komputerowej. Matylda przegląda artykuły w sieci, a jej dziennikarski zmysł zdaje się rozgrzewać. Po chwili włącza dźwięk w komputerze i z głośników płynie dźwięk Radia Białystok. Mimowolnie wsłuchujemy się w opowieść.

\* \* \*

Był dwudziesty czwarty listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. W maleńkiej wsi na Podlasiu, oddalonej trzydzieści kilometrów od Białegostoku, kolejny dzień budził się niechętnie, jak gdyby wiedział, że dla rodziny Radziejewskich okaże się najtragiczniejszy w dotychczasowym życiu. Marian, głowa rodziny i jedyny jej żywiciel, wyszedł z domu, nakarmił zwierzęta i tuż przed szóstą, jak co dzień, pojechał do Białegostoku, gdzie pracował w zakładach mleczarskich.

Jego żona Stefania zajęła się przygotowaniem śniadania dla najmłodszych dzieci, które o siódmej wyruszały do szkoły znajdującej się w pobliskiej Łupiance Starej. Tego dnia siedmioletni Jędrzek zamarudził, przez co Michasia omal się nie spóźniła na pierwszą lekcję, na której miała pisać sprawdzian z algebry. Matka życzyła im dobrego dnia i kazała na siebie uważać, po czym zajęła się swoimi sprawami, a tych jak zwykle nie brakowało. Trzeba było przypilnować pieca, wyczyścić popielnik, zagnieść ciasto na chleb, przygotować obiad i nastawić pranie, bo dzieciaki nie miały już czystych ubrań. W sześciuosobowej rodzinie zawsze było coś do zrobienia.

Jędrzek wrócił koło południa, wypił kubek ciepłej herbaty z miodem i odrobił lekcje pod czujnym okiem starszego brata Miłosza, który tego dnia został w domu, bo w nocy zagorączkował. Pozostałe dzieci Radziejewskich wciąż były w szkole. Michasia zjawiała się po trzynastej, opowiedziała matce, jakie zadania rozwiązała na klasówce, zjadła z braćmi obiad i zabrała Jędrka na dwór. Była godzina czternasta, do zachodu słońca zostało niespełna półtorej godziny.

Dzień był wyjątkowo ciepły, więc Stefania zrezygnowała z przywołania dzieci, by włożyły jesionki. Przecież zaraz miały wrócić, niedługo zrobi się ciemno. Odprowadziła je wzrokiem aż do ostatnich domów, za którymi rozciągały się smugi – nieużytki stanowiące swoisty plac zabaw dla okolicznych dzieciaków. Kiedy Michalina i Jędrzej zniknęły między drzewami, zamknęła drzwi i wróciła do prania. Trzeba było je rozwiesić, zanim Marian wróci z pracy.

Pierwsze niechciane przecucie pojawiło się tuż przed szesnastą. Zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością dzieci matka wysłała piętnastoletniego Miłosza, by zawołał rodzeństwo. Zaczynało się ściemniać.

Chłopak wrócił kilkanaście minut później z informacją, że nigdzie nie znalazł Jędrka i Michaśki. Nie było ich na smugach, nie siedzieli u najbliższych krewnych, Szawłowskich, nie bawili się obok domu. Wołał, krzyczał, pukał do sąsiadów – ślad po nich zaginął. Broniek Czerwiński, mieszkający bardzo blisko smugów, twierdził, że widział rodzeństwo wcześniej, gdy było jeszcze całkiem jasno – Michalina skakała przez skakankę, a Jędrzek robił fikołki na ziemi. Według niego dzieci zmierzały w kierunku rosnącego na skraju łąki wiązu, który mieszkańcy Krzyżajn uważają za przeklęty.

Niewiele myśląc, Marian, który wrócił już z pracy, chwycił jedną latarkę, jaka była w domu, i ruszył szukać dzieci. Miłosz pobiegł za ojcem, po drodze zwołując wszystkich sąsiadów. Było ich trzydziestu i wszyscy przeczesywali okoliczny teren, chociaż niewiele mogli zobaczyć w tej ćmie. Stefania najpierw płakała, ale pocieszona i zmotywowana przez starszą córkę wkrótce także włączyła się do poszukiwań. Jeszcze tego samego wieczora o zaginięciu najmłodszych Radziejewskich zawiadomiono policję w Sokołach. Mimo natychmiastowego rozpoczęcia poszukiwań przez funkcjonariuszy w nocy akcję przerwano. Miała zostać podjęta tuż po wschodzie słońca, kiedy do poszukiwań będą mogli dołączyć policjanci z Wysokiego Mazowieckiego dysponujący specjalistycznym sprzętem.

Marian Radziejewski wyruszył jeszcze przed świtem. Nie zmrużył oka, podobnie jak jego żona. Żadne z nich ani razu nie wypowiedziało na głos najgorszych obaw.

Policja zjawiała się godzinę później i wraz z mieszkańcami Krzyżajn i okolicznych wsi rozpoczęła akcję. Poszukiwania prowadzone były bardzo skrupulatnie. Przeczesywano każdy fragment lasu, każdy

morg pól i łąk otaczających Krzyżajny. Około południa Marian trafił na kępkę wydartego z ziemi mchu. W pierwszej chwili pomyślał, że to sprawka dzików, jednak coś kazało mu to sprawdzić. Rozgarnął mech butem i zmarł.

Śledczy pod usypaną ściółką leśną ujawnili dwa ułożone obok siebie ciała. Nie było najmniejszych wątpliwości, że właśnie odnaleziono poszukiwane od wczoraj dzieci.

\* \* \*

Matylda zatrzymuje nagranie, choć minęła dopiero połowa. Wszyscy troje oddychamy tak głośno, jakby słowa dziennikarza przygniotły nam piersi fizycznym ciężarem. Żadne z nas nie ma odwagi przerwać ciszy. Co tu powiedzieć? Jak skomentować tragedię? Pominąć milczeniem? Przecież nie wypada. Jak w kiepskiej komedii ratuje nas dzwonek telefonu. Ojciec.

Wzdycham ciężko i pokazuję wyświetlacz Arturowi i Matyldzie. Kiwiają głowami, spodziewali się tego. Odbieram i ustawiam na tryb głośnomówiący. I tak będę musiała powtórzyć przebieg tej rozmowy, więc niech od razu słyszą.

– Cześć, tato.

– Wiesz już?

– Byli u mnie. Chyba cię nie znają, bo w ich oczach widziałam zarzuty, które chętnie by mi postawili.

– Dowiem się, którzy to, i załatwię sprawę z przełożonym. Jak się czujesz?

– W porządku, tato, i daj spokój. Przesłuchali mnie, i tyle. Ty na ich miejscu zrobiłbyś to samo.

– Ja na ich miejscu najpierw sprawdziłbym, czyją jesteś córką. Nie rozmawiaj z nikim, a jeśli znowu cię odwiedzają, Olgierd jest w gotowości. Wszystkim się zajmie.

– Nie potrzebuję adwokata, tato. Nie miałam nic wspólnego z wujem i nie mam niczego do ukrycia. Nie martw się. Muszę kończyć, bo szef na mnie patrzy z mordem w oczach.

Ojciec jak zawsze rozłącza się bez pożegnania, a ja wzruszam ramionami.

– Sorry, Artur, argument władzy zawsze działa. Inaczej męczyłby mnie tak długo, aż zgodziłabym się na prawnika.

Szef przygląda mi się przez kilka odrobinę zbyt długich sekund.

– O co w tym chodzi, Szawła? Te dzieci zostały zamordowane trzydzieści lat temu. I nagle twój wuj wysyła dotyczącą ciebie wiadomość z za grobu? Dlaczego? Nie byłoby łatwiej przekazać coś twojemu ojcu, który jest policjantem?

– Był. Był policjantem, a wcześniej milicjantem. I sama sobie zadaję te pytania. Uwierz mi, że ja też nie mam pojęcia, co tu się dzieje.

Matylda również nie spuszcza ze mnie zamysłonego spojrzenia. Z pewnością snuje hipotezy.

– I dlaczego oraz komu wuj kazał ciebie znaleźć?

– Bardzo chciałabym znać odpowiedzi na wszystkie te pytania, jednak jestem tak samo głupia jak wy. I muszę zapalić.

Przyjaciółka przyklaskuje mojemu pomysłowi i rusza do drzwi. Wiem, że Artur chciałby podrażnić temat, w końcu jest jednym z najlepszych dziennikarzy, jakich w życiu poznałam, jednak ja nie czuję się



gotowa na powrót do przeszłości. I mam szczerą nadzieję, że to nie będzie konieczne. Owszem, śmierć krewnego, zwłaszcza nagła i tak dramatyczna, nieco mną wstrząsnęła, nie byliśmy jednak ze sobą na tyle blisko, żebym pogrążyła się w żałobie. I tak, kartka w jego kieszeni zrobiła na mnie wrażenie, ale co mogę z tym począć? Pozostaje mieć nadzieję, że policja szybko rozwikła tę zagadkę.

Opuszczamy gabinet szefa i odprowadzane spojrzeniem kilkudziesięciu par oczu wychodzimy z redakcji. Pewnie zaraz kilka osób poczuje potrzebę dotlenienia, ale nie ma to dla mnie znaczenia. Muszę zmienić otoczenie, posłuchać gwaru miasta i powdychać spaliny. Zbiegając po schodach – nie mam ochoty zamykać się w ciasnej windzie – staram się usunąć sprzed oczu obrazy, które przywołał usłyszany przed momentem fragment reportażu. Obrazy, które wyparłam z pamięci wiele lat temu i nigdy więcej nie zamierzałam do nich wracać.